ISSN 1640-5048

Dom Bretanii o Bretanii
nr 19, listopad 2014

W numerze:

Nicole Dołowy-Rybińska o konstruowaniu bretońskiej tożsamości językowej ..... str. 4

Katarzyna Tirilly o bretońskiej ceramice ..... str. 7

Marta Tobiasz-Jouhier o bretońskiej walucie Galléco oraz o roku Anny Bretońskiej ..... str. 9 i 17

Wywiad Ewy Waliszewskiej z Fañchem Le Henaff o czcionce Brito ..... str. 12

Małgorzata Kobusińska o kryminale „Śmierć w Pont-Aven" ..... str. 13

Elżbieta Sokołowska z wizytą w Vannes ..... str. 15

Krótka analiza rozwoju zachodniej cywilizacji wg Kennetha White'a

Aby dobrze zobaczyć, gdzie obecnie jesteśmy, oraz aby zajrzeć do zastanych pokładów naszego umysłu, konieczne jest przedstawienie analizy rozwoju naszej (zachodniej) cywilizacji.

Proponuję ujrzeć tę cywilizację jako autostradę z różnymi odcinkami. Wszystkie te odcinki pozostawiły w naszej świadomości swoje ślady. Przemierzając te odcinki, stawiać będę pytania. To na te pytania odpowiedzi daje geopoetyka.

Pierwszy odcinek to wiek klasyczny prezentowany w osobach Platona i Arystotelesa, którzy zapisani zostali w każdym używanym przez nas języku, w każdym sposobie, jakiego używamy.

Platon wymyślił metafizykę, czyli idealizm. Jeśli o kimś mówimy, że jest „idealistą", to raczej go chwalimy. To jest osoba, która interesuje się rzeczami „nie z tego świata": Bogiem, Prawdą, Pięknem. Jednocześnie w tej opinii zawiera się krytyka: taka osoba powinna znajdować się bliżej ziemi, powrócić do „rzeczywistego świata" (gdzie nikt nie przejmuje się Bogiem, Prawdą, Pięknem).

Czy można pozbyć się tej opozycji pomiędzy idealizmem a realizmem? Tak daleko, jak można, aby spróbować dialektycznie ją wymieszać (ideorealizm, itd.)? Z dala od punkowego nihilizmu, który przychodzi do głowy, kiedy idealizm upada płasko na twarz? Czy byłoby możliwe opuścić tę różnicę pomiędzy tym, co intelektualne a tym, co uczuciowe, na której metafizyka jest zbudowana – podział główny ale i wyrodniejący – żeby z jednej strony oczyścić intelektualizm, a z drugiej uczuciowość?

Udział Arystotelesa w tej autostradzie (marsz w stronę zachodniej cywilizacji) to klasyfikacja i systematyka. Klasyfikacja jest bardzo pożytecznym narzędziem. Jeżeli mamy dziesięć książek w bibliotece, to nie ma problemu. Jeżeli mamy trzysta albo trzy tysiące, to bez odpowiedniej klasyfikacji czeka nas sporo zmarnowanego czasu na szukanie. Oprócz tego aspektu utylitarnego pozostaje jeszcze ten epistemologiczny: większość naszej wiedzy opiera się na klasyfikacji. Dzielimy rzeczywistość na części i studiujemy te części.

Na przykład ciało. Kładziemy je martwe na stół i zaczynamy sekcję. Dowiadujemy się wiele o mechanizmach procesu oddychania, o krwiobiegu, o budowie poszczególnych narządów. W przypadku dysfunkcji nasza medycyna bada różne części ciała. Podejrzenie może powstać nie tylko z przeświadczenia, że całość jest czymś więcej niż sumą części i że samo życie może ma taką drogę funkcjonowania, jakiej sekcja nie odkryje, lecz że zdrowie zależy nie tyle od leczenia rozpoznanych części, ile od stanu całości organizmu włącznie z jego środowiskiem, w którym przebywa. W rezultacie klasyfikacje są pożyteczne, ale mogą stać się zbyt wąskie: rzeczywiste, żywe życie świata i umysłu wykraczają poza nie. Na przykład są książki, które nie pasują do gatunkowego systemu literatury ani do przyjętej klasyfikacji w większości bibliotek i księgarni. W tym generalnym układzie pozycje z zakresu „geopoetyki" sytuują się poza obecnie obowiązującą klasyfikacją nauki, filozofii, poezji.

Po wieku klasycznym nadeszły tzw. wieki średnie silnie naznaczone chrześcijaństwem, odcinek drugi na naszej autostradzie. Chociaż życie toczyło się na polach i w ogrodach, jak to można zauważyć na wielu pięknych miniaturach z „Très Riches Heures du duc de Berry", chociaż św. Franciszek z Asyżu prawie po pogańsku zwracał się do Brata Słońca i Siostry Luny, chociaż pojawiały się nieortodoksyjne ruchy i intelektualne herezje, to chrześcijańska kultura wolała dostrzegać w tym powszechnym ogrodzie świata padół łez w charakterze pomostu na drodze do życia wiecznego. Akcent kładziono na wertykalny stosunek do transcendencji, czego przykładem były wieże kościołów oraz pinakle, sterczące gotycko w stronę niebios. Zamiast Idei, którą można było intelektualnie pojąć, pojawił się Bóg, którego trzeba było adorować, bać się, kochać za pośrednictwem Marii Dziewicy i Chrystusa. Platońska intelektualna rzeczywistość oraz ta naukowa według Arystotelesa zamienione zostały przez teatralny spektakl naznaczony obsesją grzechu pierworodnego: świat jest w stanie najwyższej demoralizacji. Inną obsesją jest czas. Jeśli Chrystus Zbawiciel udał się do nieba po ofierze Ukrzyżowania, to pewnego dnia powróci na ziemię. Trzeba mieć nadzieję i czekać

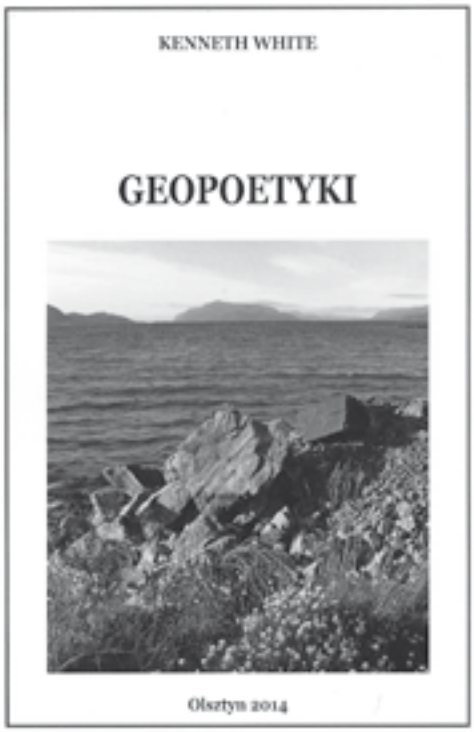

na powtórne jego Przyjście. Jeśli ginie nadzieja, to pozostaje czekanie na… Godota.

Odcinek trzeci kulturalnej autostrady: renesans. Renesans jest odrodzeniem, ale czego? Klasycznego wieku, klasycznej przestrzeni. Na pierwszym miejscu odrodzenie zagubionych w średniowieczu i zachowanych dzięki arabskim uczonym dzieł Platona i Arystotelesa. Następnie form mitologicznych: bogów, bogiń, najad i driad. Te mityczne stwory całymi masami zapełniać będą wyobraźnię. Przez dłuższy czas żaden wartościowy poemat nie będzie się mógł obyć bez Wenus, Endymiona itd., a trwać to będzie aż do końca XIX stulecia, kiedy te postacie zostaną porzucone jako zbyteczne, zawadzające, wręcz szkodliwe. Ale na początku te mityczne stwory służyły do znaczących celów kulturalnych. Zanim stały się konwencjonalnymi znakami, pełniły swoje funkcje: nimfy leśne zwracały uwagę na lasy, boginki górskie – na góry. Świat naturalny stał się ponownie centrum uwagi. Z tego zrodziła się nauka: próba przeniknięcia tajemnic przyrody. Stąd zainteresowanie sprawami ziemskimi, pragnienie wyjrzenia poza granice małego ,,znanego świata" ze średniowiecznych map. Nowy świat zostaje odkryty – Zachód po drugiej stronie Atlantyku. Ale oto, co się stało. O wiele łatwiej narzucić znany system na nieznany, niż wystawić się na ten nieznany. Tak więc zamiast przemierzać wyspę i prawidłowo patrzeć i odpowiednio nazywać to, co się widzi (poetyckie, geopoetyckie działanie), jak np. ,,Skalista Wyspa" albo „Wyspa Palm", ktoś wymyśla takie nazwy jak ,,St John" lub „St Martin", albo też nazywa miejsca imionami królów, gubernatorów, umieszcza flagi i eksterminuje wszystkich zastanych mieszkańców, ludzkie i zwierzęce istoty. Wynik jest taki, że tzw. Nowy Świat tak naprawdę nie był nigdy nowym światem, a zaledwie karykaturą części starego. Na powierzchni renesans niósł ze sobą całe mnóstwo pomieszania. Nawet w swojej głębi, chociaż niektóre umysły docierały do lepiej oświetlonej i lepiej zharmonizowanej przestrzeni, większość z tego było po prostu podróbką: klasyczna filozofia nauczana w szkołach humanizmu była zaledwie bladym odbiciem o wiele bardziej radykalnego myślenia antycznych Greków.

Nowoczesność (odcinek czwarty), wymyślona przez René Descartes'a, była radykalna – jednocześnie radykalna i bezwzględna. Redukowała cały świat do pojęć podmiot/przedmiot, a z tym podziałem na podmiot/przedmiot szedł projekt panowania nad Naturą. Wraz z nowoczesnością Natura podlega coraz większemu uprzedmiotowieniu oraz traktowana jest wyłącznie jako pierwotny obszar przeznaczony do eksploatacji. Straszliwe z punktu widzenia ekologii rezultaty tego stanowiska są aż nazbyt widoczne. Jeżeli chodzi o podmiot to ten przeobraża się w robota, ubrany jest w lekarski, naukowy, astronautyczny, wojskowy uniform albo kończy na kozetce u psychoanalityka wykończony frustracją, fantazmatami, a jego mózg pracuje jak szalony projektor filmowy. W międzyczasie nowoczesność szaleńczo mknie w dół autostradą.

Pierwsza reakcja nadeszła z nurtu nazwanego romantyzmem. To byli indywidualiści, którzy uświadomili sobie, że zostali wyzbyci ze wszystkiego i postanowili coś z tym zrobić. ,,To czego szukasz jest światem", mówi do siebie bohater Hölderlina, Hyperion (człowiek, który ma wiele pytań). To oznacza przede wszystkim „powrót do Natury", niekiedy jedynie na sposób sentymentalny. Jednak to czasami również oznacza próbę dotarcia do czegoś w rodzaju całości myślenia

i istnienia, które obiera formę alternatywnych poszukiwań, docierających poza ustalone podziały wiedzy oraz przegródki myślowe. Jeżeli psychologia, biologia, fizyka należą do oddzielnych przedziałów „prawidłowego" i przyjętego systemu poznania, to ideą romantyczną jest próba myślenia za pomocą ujęć syntetycznych: psychobiologicznych. Carlyle stworzył skarykaturowanego romantyka w postaci dra Teufelsdröckha (Diabelskiego smoka), który mieszkał na uniwersytecie zwanym Weissnichtwo (,,Bóg wie gdzie") i rozmawiał o poszukiwaniach transcendentalnych, symbolizmie (okno na nieskończoność) i naturalnym nadnaturalizmie.

Postacie, które ja nazywam „intelektualnymi nomadami" nie są romantykami, ale znajdują się w tym samym punkcie wyjścia oraz na tym samym obszarze i stawiają podobne pytania, poszukują jednak nowych odpowiedzi, zmierzając w stronę nowej aktywności (działania) poza prostą reakcją (działaniem).

Te postacie są trudne do zdefiniowania i niemożliwe do sklasyfikowania. To nie są profesjonaliści, ale również nie są to amatorzy. To nie są osoby, to są podmioty. Człowiek jako osoba społeczna jest nośnikiem odziedziczonych cech, zakodowanych emocji i wyobrażeń. Podmiot nomadyczny to zamiar i trajektoria. Osoba ma tożsamość. Podmiot jest polem energii.

Nietzsche i Rimbaud należą do mojej trajektorii. Nietzsche porzucił swoją profesjonalną karierę filologa na uniwersytecie w Bazylei i od tej pory wędrował jako nomada po Europie. Możemy wyznaczyć jego drogę od Niemiec do Szwajcarii, od Szwajcarii po Francję i Włochy. W czasie tych podróży (ku otwartym horyzontom) na szczytach, Nietzsche napisał serię elektryzujących książek, w których analizował pozostawione za sobą terytoria i szkicował nowe przestrzenie, w których sam się odnalazł: ,,Ludzkie, arcyludzkie", „Tako rzecze Zaratustra", „Zmierzch bożyszcz", „Ecce homo". Jego ostatnie zdanie wypowiedziane przeciwko wszystkim transcendentalnym wiarom i technologicznemu niszczeniu ziemi brzmiało tak: „Bracia, pozostańcie wierni ziemi".

Blisko Nietzschego jako potężna postać sytuuje się Rimbaud, który w poezji był tym, kim Nietzsche w filozofii, przekraczał wszelkie granice, desperacko walczył o nową przestrzeń.

Pozostawił po sobie na scenie literackiej dwie książki: „Sezon w piekle" oraz „Iluminacje", a w swoim życiu przekraczał wiele różnych krain. Pierwsza wyprawa poprowadziła go do regionu Ardenów (pomiędzy północną Francją i Belgią). Później widzimy go jak przekracza zimą przełęcz Gotharda pomiędzy Szwajcarią i Włochami. Możemy śledzić jego wędrówki przez Niemcy, Anglię. Później opuszcza Europę dla Indonezji. W końcu odnajdujemy go na płaskowyżu Ogaden w Abisynii. W jednym ze swoich wierszy deklaruje: ,,Jeśli mam ochotę na cokolwiek, to jedynie na ziemię i kamienie". Frazę tę łączę z sentencją Nietzschego „Bracia, pozostańcie wierni ziemi" i widzę je obie jako trajektorię tych dwóch postaci, jako zbliżenie się ich do geopoetyki.

Może to wydać się ciekawe, dlaczego nigdy nie zainteresowałem się podobnymi zagadnieniami, jeśli chodzi o jakiegoś pisarza angielskiego. Wyjaśnienie jest proste. U żadnego angielskiego autora (poza może D.H. Lawrencem) nie znalazłem takiej egzystencjalnej energii, intelektualnej przenikliwości i siły poetyckiej, jakie odnalazłem u niemieckich i francuskich autorów.

W takim to właśnie kontekście należy czytać moją własną twórczość.

Opuszczając Glasgow (wtedy wypełnione znakami zachodniej cywilizacji w jej ostatniej fazie), mając utrwalone na zawsze w mózgu wczesne doświadczenia na atlantyckim wybrzeżu Szkocji, przemierzałem Europę w „Travels In the Drifting Dawn", wędrowałem po Azji z „The Face of the East Wind", podążałem ścieżką na północ Ameryki w „The Blue Road". Poza tymi polami-dziedzinami (ogólnie „najbardziej trudnymi polami") rodziły się wiersze z kolejnych tomów, jak „Walking the Coast", „Handbook for the Diamond Country", „Atlantica", „Limits and Margines", zebrane w zbiorowym tomie „Open Word". Po wędrówkach i poezjach nadeszły eseje, przez długi czas pisane po francusku, jak „The Outward Mouvement", ,,A Quiet Apocalipse", „The Nomad Mind", „The Plateau of the Albatross", w których starałem się opisać nową poetycko-teoretyczną kartografię.

Tłumaczenie Kazimierz Brakoniecki

Fragment pochodzi z książki Kennetha White'a „Geopoetyki" (tłum. i red. K. Brakoniecki), Olsztyn 2014

Kenneth White (1936, Glasgow) – kultowy poeta i filozof, twórca takich pojęć, jak geopoetyka, nomadyzm intelektualny, chaotycyzm. Szkot mieszkający od lat we francuskiej Bretanii, emerytowany profesor poezji na paryskiej Sorbonie, autor licznych książek eseistycznych z pogranicza kultury, filozofii, antropologii, geografii; poeta, podróżnik, myśliciel; w hybrydowej twórczości łączy namysł nad kulturą celtycką Zachodu z nurtami dalekowschodniej filozofii, religii buddyjskiej, taoistycznej. Programowa geopoetyka ma na celu odbudowanie niekonwencjonalnego przymierza człowieka z Miejscem, Ziemią, Kosmosem: *Celem mojej geopoetyki jest otwarcie tak świata, aby był mniej skupiony na człowieku niż dotychczas, bo stał się on nie tylko dławiący, ale szalony i zabójczy. Chodzi o odnowienie naszego stosunku do ziemi, aby ten stosunek uczynić bardziej całościowym i subtelniejszym, bardziej inteligentnym i bardziej zmysłowym. Najważniejsze to być całkowicie obecnym w tym, co się uobecnia.*

Néo-bretonnants i konstruowanie tożsamości językowej

Nicole Dołowy-Rybińska

Pejzaż językowy dzisiejszej Bretanii jest skomplikowany. Wciąż jej trzema językami są: francuski – język oficjalny i język pierwszy większości mieszkańców; bretoński – język celtycki jeszcze przed wiekiem używany przez większość mieszkańców Dolnej Bretanii, a dziś język mniejszościowy, poważnie zagrożony; i gallo – język romański, uważany przez wielu za dialekt francuskiego, używany jeszcze w niektórych miejscach Górnej Bretanii. W tym tekście chciałabym skupić się na nowych użytkownikach języka bretońskiego, tych, którzy nie nauczyli się go w przekazie rodzinnym, ale w szkole, na uniwersytecie lub na specjalnych kursach. Obecnie osoby takie, zwane po francusku *néo-bretonnants*, stanowią grupę kilkunasto-kilkudziesięciotysięczną, zróżnicowaną pod względem wieku, miejsca zamieszkania (pochodzą i mieszkają i w Górnej, i w Dolnej Bretanii), motywacji posługiwania się językiem, a także stopnia jego znajomości. Nie wszyscy po skończonym kursie lub po szkole z bretońskim będą chcieli, mieli okazję i możliwość, żeby językiem tym się porozumiewać. Ponieważ dziś liczbę użytkowników języka bretońskiego szacuje się na około 200 000, z czego większość należy do najstarszego pokolenia, oznacza to, że nawet znalezienie partnerów do rozmowy po bretońsku w ponad czteromilionowej Bretanii może być problematyczne. Dlatego też jedynie najbardziej zmotywowane jednostki, które języka bretońskiego nie nauczyły się w domu, posługują się tym językiem na co dzień albo przy okazji spotkań z innymi osobami znajdującymi się w podobnej sytuacji.

Przedstawiając sposób konstruowania tożsamości językowej przez młode pokolenie nowych użytkowników języka bretońskiego, odwoływać się będę do wypowiedzi młodych Bretończyków, w wieku 16-25 lat, uczniów jedynego immersyjnego liceum Diwan w Carhaix/Karaez (gdzie językiem nauczania jest bretoński), studentów bretońskiego na Uniwersytecie Rennes II oraz młodych bretońskich aktywistów, zaangażowanych w działalność na rzecz języka i kultury. Wywiady z nimi prowadziłam w ramach większego projektu badawczego w latach 2012-2014.

Moi rozmówcy nie poznali na własnej skórze upokorzeń związanych z mówieniem po bretońsku, które sprawiły, że ich dziadkowie odrzucili po II wojnie światowej ten język jako język komunikacji z własnymi dziećmi. Nie przeżyli też wzlotów i fascynacji walki o przyznanie bretońskiemu choćby podstawowych praw do istnienia, które były udziałem ich rodziców w latach 70. XX wieku. Od dziecka uczyli się natomiast bretońskiego w szkołach lub sami podjęli decyzję, żeby się go nauczyć na kursach lub na uniwersytecie. Chodzą na manifestacje w obronie praw języka mniejszościowego, uczestniczą w radosnych tanecznych świętach fest-noz. Jednocześnie, to im właśnie najtrudniej jest uczynić z bretońskiego język życia codziennego: ich kontakty po bretońsku ograniczają się siłą rzeczy do rozmów w szkole lub w specjalnie zorganizowanej w tym celu przestrzeni. Dlatego pytanie o motywację uczynienia z języka przodków ważnego punktu odniesienia dla konstruowanej tożsamości (indywidualnej? etnicznej? regionalnej?) jest fascynujące.

Już sama odpowiedź na pytanie, czy język bretoński jest dziś ważnym wyznacznikiem bycia Bretończykiem, nastręcza młodym ludziom wiele problemów. Odruchowo, niemal wszyscy odpowiadają, że wciąż jest podstawowym wyznacznikiem bretońskiej tożsamości, mimo że nie jest już powszechnie używany. Jednak zaraz potem dodają, że nie trzeba mówić po bretońsku, żeby być Bretończykiem. Zdają sobie bowiem sprawę z tego, że oni sami poznali ten język dzięki własnym rodzicom, którzy zdecydowali się wysłać ich do bretońskojęzycznej szkoły, a także – że nauczenie się go było wielkim wyzwaniem:

Nie jestem pewien… jest bardzo wiele sposobów… tak, to ciągle jest ważne [żeby mówić po bretońsku], ale jest wiele sposobów, by się czuć Bretończykiem. Na przykład mój ojciec… mój ojciec nie mówi za bardzo po bretońsku, ale jednak czuje się Bretończykiem. I sądzę, że to bardziej stan ducha, by mówić, że się jest Bretończykiem lub nie. Nie powinno się mówić po prostu, że jestem Bretończykiem, bo mieszkam w Bretanii… To chodzi o coś trochę innego, o to, by mieć to coś… (uczeń Diwan, 18 lat)

„To coś", o czym wspomina licealista, to poczucie bycia Bretończykiem, z którym – zdaniem młodych – wiąże się także odpowiedzialność za język oraz za kulturę bretońską. Tymczasem bretońskość nie jest zazwyczaj przez młodych ludzi traktowana w jasnych kategoriach etnicznych, narodowych lub regionalnych. Wiąże się właśnie z emocjonalnym poczuciem przynależności do grupy. Bardzo często młodym brakuje odpowiednich kategorii, za pomocą których umieliby się zdefiniować jako Bretończycy. W takiej sytuacji to właśnie znajomość i używanie zagrożonego języka bretońskiego, który staje się najważniejszym (niemal obiektywnym) symbolem bretońskiej identyfikacji, pomaga im określić się nie tyle wobec własnej grupy, co przede wszystkim w opozycji do innej:

W sumie jest tak, że to że mówię po bretońsku sprawia, że czuję się bardziej Bretończykiem, bo… może to zabrzmi śmiesznie, co

powiem, ale chyba to, że mówię po bretońsku sprawia, że czuję się trochę mniej Francuzem. (student bretońskiego na Uniwersytecie w Rennes, 20 lat)

Warto podkreślić też, że dla młodych osób, które się nauczyły bretońskiego i starają się go używać, mówienie po bretońsku wiąże się też z pewnym – jak sami to określają – „stanem ducha", z zaangażowaniem i pełnym, świadomym uczestnictwem w kulturze bretońskiej. Mówienie po bretońsku jest dla nich niejako „dowodem" tego zaangażowania:

Choćby przez to, że mogę mówić po bretońsku z ludźmi, a to jednak w Bretanii jest czymś… czymś symbolicznym, nie? To dużo więcej niż fest-noz i wszystkie święta tradycyjne. Myślę, że mówienie po bretońsku to jest coś, co naprawdę pokazuje, że jesteśmy w Bretanii. To coś, co się od razu spostrzega i nie można powiedzieć, że to głupie, czy… Więc tak, uważam, że to jest nieodłączna część kultury i gdy chcemy nią żyć, to możemy powiedzieć, że jesteśmy Bretończykami. (uczeń liceum Diwan, 16 lat)

A jednak, poza deklaracjami związku z językiem, trzeba powiedzieć jasno: mówienie po bretońsku nie jest łatwe dla młodych néo-bretonnants z kilku powodów. Po pierwsze, dla większości z nich nie jest to język wyniesiony z domu. Owszem, wielu uczniów i byłych uczniów szkół Diwan oraz niektóre osoby uczące się języka w dorosłym życiu, przyznają, że zaczęli ze swoimi rodzicami lub jednym z nich rozmawiać po bretońsku. Jednak dla nielicznych był to język pierwszy. Po drugie, dla uczniów liceum Diwan bretoński to język szkoły, język w pewnym sensie „narzucany" przez nauczycieli. Choć wielu uczniów zdaje sobie sprawę z tego, że powinni mówić po bretońsku i starać się go używać we wszystkich sytuacjach, jest to dla nich bardzo trudne. Często dopiero po opuszczeniu bretońskojęzycznego środowiska uświadamiają sobie konieczność mówienia po bretońsku:

Ponieważ ja i moi znajomi uczyliśmy się bretońskiego w szkole, to długo wydawało mi się, że wszyscy mają bretoński w szkole i że bretoński jest językiem szkoły. Więc nie widziałem specjalnie sensu, żeby mówić po bretońsku poza szkołą. Nawet ze znajomymi w szkole poza lekcjami niekoniecznie rozmawialiśmy po bretońsku. Co jest smutne. Ale niestety tak było. Ale gdy się wychodzi z liceum i gdy nie ma się już okazji, żeby rozmawiać po bretońsku, gdy wszędzie jest tylko francuski, wtedy pojawia się uczucie, że czegoś ci brakuje. I myślę, że wszyscy wychodząc z Diwan mają to uczucie. (były uczeń Diwan, bretoński aktywista, 21 lat)

To właśnie brak ludzi, z którymi można rozmawiać po bretońsku w zwykłych, codziennych sytuacjach, sprawia, że jedynie naprawdę zdeterminowane osoby są w stanie to robić. Po bretońsku mówi zaledwie 5% mieszkańców Bretanii, z czego większość należy do starszego pokolenia. By mówić po bretońsku, trzeba znaleźć się w specyficznym, bretońskojęzycznym środowisku. Ale nie każdy chce się w nim znaleźć i nie każdy czuje się w nim dobrze. Jest to bowiem środowisko bretońskich działaczy (militants bretons). Osób, które postanowiły uczynić z mówienia po bretońsku podstawowy wyznacznik swojej tożsamości. I które używają bretońskiego również w imię zachowania tego języka:

To też jest jakiś rodzaj tożsamości, rozpoznanie się między dwoma osobami, które mówią jednym językiem. Ale skoro nie mówię po bretońsku zbyt często w życiu codziennym, za każdym razem, gdy mówię, chodzi właśnie o mówienie po bretońsku. A wolałabym mówić tak po prostu, żeby mówić. (była uczennica Diwan, aktywistka bretońska, 25 lat)

Manifestacja na rzecz języka bretońskiego w Quimper, 31 marca 2012. Fot. N. Dołowy-Rybińska

Bieg Redadeg 2014 fot. N. Dołowy Rybińska

Wybór, by używać języka bretońskiego w życiu codziennym nie jest więc neutralny. Nie każdy człowiek, który otrzymał edukację po bretońsku (w szkołach Diwan), albo zna bretoński dzięki zajęciom w szkołach dwujęzycznych, bądź zrobił intensywny, sześciomiesięczny staż językowy, będzie chciał, potrafił i miał dostateczną motywację, by uczynić z języka bretońskiego język kontaktów z innymi osobami bretońskojęzycznymi. Wybór używania języka bretońskiego jest wyborem natury quasi-politycznej, wyborem społecznego zaangażowania na rzecz lokalnej kultury.

Trzeba powiedzieć, że jak się jest w takiej szkole to już się jest jakoś politycznie uplasowanym. Uczyć się języka, zdecydować się, by uczyć się i mówić w języku, który nie jest językiem pierwszym i by zdecydować, żeby mówić w nim z ludźmi, dla których to też nie jest język pierwszy… możemy spokojnie rozmawiać między sobą po francusku, ale jeśli postanawiamy, że będziemy rozmawiać po bretońsku, to jest to wybór, który musimy podjąć. (student bretońskiego na Uniwersytecie w Rennes, 20 lat)

Silny związek między używanym językiem a tożsamością jest oczywisty. Jednak w sytuacji, gdy związek ten tworzy się między językiem wyuczonym, obarczonym bardzo dużym bagażem emocjonalnym, tworzy się on w sposób szczególny. Młodzi, którzy decydują, by w kontaktach z innymi używać języka, który nie jest językiem pierwszym, świadomie konstruują i manifestują swoją tożsamość już nie tylko wobec siebie, ale i wobec innych, mówiąc (na głos): „jestem Bretończykiem!".

Tak jednak myślę, że to [mówienie po bretońsku] jest coś, co… jednak to jest coś, co sprawia, że jesteśmy naprawdę Bretończykami. Na przykład, gdy jesteśmy na festiwalu, albo gdzieś, i spotykamy kogoś, kogo znaliśmy nie wiem skąd, i gdy słyszymy, że ten ktoś mówi po bretońsku, od razu nas ciągnie, żeby z nim porozmawiać… Tak, to naprawdę jest część naszej tożsamości, żeby mówić po bretońsku. (uczennica Diwan, 17 lat)

Mówienie po bretońsku nie jest tylko wyborem. Młodzi ludzie deklarują, że mają bliski związek z językiem bretońskim, że chcą, żeby to był podstawowy język ich życia. Chcieliby także, by był to język ich przyszłej rodziny. Często od moich rozmówców słyszałam podobne deklaracje:

Chciałabym, żeby to był mój język. Język życia codziennego. To jest prawie intymne. Teraz gdy już mam ten język, chciałabym, żeby to był język mojego życia codziennego. Język mojej przyszłej rodziny. Chcę żyć tym językiem codziennie, a potem jeśli może to być też język mojej pracy, tym lepiej. To będzie jeszcze milsze. A potem, w odniesieniu do tożsamości: tak, myślę, że gdzieś w środku czuję się Bretonką: to jest mój kraj, to jest mój język i żyję w nim, jeśli mam ochotę. (studentka na Uniwersytecie w Rennes, 22 lata).

Jednak młodzi nie zdają sobie sprawy z tego, co zaprząta myśli socjolingwistom zajmującym się językami zagrożonymi: że przywrócenie międzypokoleniowej transmisji języków mniejszościowych stanowi bardzo duże wyzwanie i rzadko się udaje. To od wytrwałości młodych pokoleń uczących się języka bretońskiego i od siły ich skonstruowanej tożsamości językowej zależeć będzie w dużej mierze przyszłość tego celtyckiego języka Francji.

Nicole Dołowy-Rybińska, 2011, Języki i kultury mniejszościowe Europy: Bretończycy, Łużyczanie, Kaszubi, Warszawa, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.

Nicole Dołowy-Rybińska, 2013, Néo-bretonnants – konstruowanie tożsamości językowej. „Sprawy Narodowościowe – Seria Nowa", nr 41 (119-137).

Dr Nicole Dołowy-Rybińska – kulturoznawczyni, adiunkt w Instytucie Slawistyki Polskiej Akademii Nauk. Do jej głównych zainteresowań badawczych należy sytuacja języków i kultur mniejszościowych w Europie. Od 2005 roku prowadzi badania terenowe w Bretanii, na Łużycach i na Kaszubach. W ramach stypendium UNESCO/Keizo Obuchi w 2007 roku przebywała na stażu na Uniwersytecie Rennes II. Na podstawie badań w 2010 roku obroniła doktorat w Instytucie Kultury Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 2012-2014 realizowała grant Narodowego Centrum Nauki „Strategie zaangażowania młodzieży w życie etniczne mniejszości autochtonicznych Europy: instytucje, działania, wybory tożsamościowe (Kaszubi, Łużyczanie, Bretończycy, Walijczycy)"

Bretońska ceramika od podszewki

Katarzyna Tirilly

Jednym z przedmiotów ściśle powiązanych z bretońską kulturą i tożsamością jest niewielkich rozmiarów miska z charakterystycznymi uszkami (po francusku: *bol à oreilles*, czyli miska z uchami), ozdobiona ludowym motywem, z namalowanym po zewnętrznej stronie imieniem właściciela. Tego naczynia używa się najczęściej przy śniadaniu, pijąc z niego mleko, kawę lub jedząc płatki, zależnie od wieku i upodobań właściciela. Takie miski możemy kupić w Bretanii na każdym kroku, jednak gdy uważnie się im przyjrzymy, szybko zauważymy różnicę między poszczególnymi modelami. Różnią się one nie tylko motywem, kolorem i starannością wykonania, ale także ceną. Za oryginał trzeba słono zapłacić (ok.35 euro za sztukę wraz z personalizacją, czyli zamówieniem swojego imienia), ale ta cena nie bierze się znikąd, a nasza pamiątka dzięki temu nie będzie miała nic wspólnego z jej kopią sprowadzaną z Chin.

Jeśli chcemy być pewni, ze mamy do czynienia z przedmiotem wytwarzanym na miejscu, należy sprawdzić, czy pod spodem znajduje się ręcznie namalowany napis z nazwą marki Henriot Quimper i z inicjałami osoby, która nasz przedmiot dekorowała. W Bretanii ceramikę Henriot zna chyba każdy, jest ona obecna w wielu domach, pełniąc zarówno funkcję dekoracyjną, jak i użytkową. Moja teściowa, urodzona w Quimper, ma u siebie całą kolekcję zastawy stołowej tej marki, a część przedmiotów wykorzystuje też jako dekorację (niektóre talerze wiszą na ścianie, inne zdobią kredens). Większość z nich to prezenty i każdy z nich ma swoją historię: teściowa zapytana o nią, bez zająknięcia odpowie, co od kogo i na jaką okazję dostała. My na razie skromnie zaczynamy własną kolekcję, również od prezentu ślubnego w postaci miski.

Henriot to jedna z najstarszych francuskich firm, z tradycjami sięgającymi 1690 roku, kiedy to przybysz z południa Francji, Jean-Baptiste Bousquet, postanowił otworzyć właśnie w Quimper swoją wytwórnię ceramiki ze względu na mniejszą konkurencję niż w rodzimej Prowansji a także na korzystne położenie geograficzne – tuż przy rzece Odet i niedaleko oceanu – oraz na bliskość surowców. Te piękne naczynia powstają bowiem z gliny i mimo postępu technologicznego, od czasów założenia fabryki wciąż większość pracy wykonuje się tu ręcznie.

Historia manufaktury jest dość burzliwa. Jeszcze nie tak dawno temu w Quimper istniało kilka konkurencyjnych przedsiębiorstw a zapotrzebowanie na ceramikę było ogromne. W 1968r. konkurencyjne wcześniej marki HB i Henriot łączą swoje siły a dwa sąsiednie budynki w dzielnicy Locmaria mieszczą pod swoim dachem w tym okresie około pięciuset pracowników. Ceramika jest odtąd sygnowana wspólną nazwą: „HB Henriot". Od tego momentu wiele się zmieniło: Henriot jest dziś jedyną wytwórnią ceramiki nie tylko w Quimper, ale i w całej Bretanii, a jej istnienie stanęło kilka lat temu pod dużym znakiem zapytania, nie tyle przez azjatycką konkurencję, ile ze względu na dużo głębsze zmiany w społeczeństwie, a dokładniej w stylu życia i konsumpcji. Kiedyś serwisami Henriot obdarowywano świeżo upieczonych małżonków a tego prezentu używało się potem przez całe wspólne życie, dziś wolimy regularnie zmieniać zastawę stołową, nie mówiąc już o tym, że samych ślubów we Francji teraz jak na lekarstwo. Na szczęście firmie udało się przezwyciężyć kryzys i, po zmniejszeniu liczby personelu (obecnie pracuje tu zaledwie 27 osób) jak i powierzchni lokali o połowę, utrzymać się na rynku. Te wszystkie szczegóły znam dlatego, że niedawno miałam okazję poznać firmę od podszewki i każdego dnia pokazywać turystom tajniki produkcji, pracując w Henriot jako przewodnik.

Ceramika powstaje w trzech różnych warsztatach, w zależności od kształtu, jaki chcemy nadać naczyniu. Pierwszy zarezerwowany jest dla form pustych w środku, takich jak wazon czy figurka, w drugim powstają okrągłe naczynia a w ostatnim wszystkie te, które są kwadratowe, owalne, prostokątne i najczęściej płaskie. Punktem wspólnym dla wszystkich trzech metod jest to, że punk-

tem wyjścia jest glina i gipsowa forma, tworzona na miejscu.

Kiedy nada się już kształt naczyniu, wstawia się je do pieca na pierwsze wypalanie (potrzeba na nie 9 godzin w temperaturze 1040 stopni Celsjusza i potem kolejnych 9 godzin na studzenie, przy którym piec pozostaje zamknięty). Następnie, po upewnieniu się, że wypalony przedmiot nie ma wad, nakłada się warstwę szkliwa (zanurzając naczynie w odpowiednio przygotowanej „kąpieli" lub poprzez natrysk) i przychodzi kolej na dekorację.

To właśnie warsztat dekoracji robi na zwiedzających największe wrażenie i wcale się temu nie dziwię, ze mną było podobnie. Siedem kobiet z niesamowitą zręcznością i precyzją wyczarowuje w mgnieniu oka kreskę za kreską. Nie jest to jednak zajęcie zarezerwowane dla płci pięknej. Wcześniej, gdy liczba osób ozdabiających naczynia dochodziła nawet do pięćdziesięciu, pracowali tu też mężczyźni. Bardzo cieszyłam się, mogąc obserwować postępy w dekorowaniu imponującej figury czterech tancerzy w tradycyjnych bretońskich strojach (pomalowanie całości zajmuje około tygodnia), bo jest ona wykonywana tylko na zamówienie a takie wpływa średnio raz do roku! Kiedy uwieczniałam na zdjęciach etapy powstawania jednego z bardzo licznych motywów dekoracyjnych (autorem tego konkretnego projektu jest artysta Michel Costiou), musiałam spieszyć się z robieniem zdjęć – narysowanie tego wzoru zajmuje wprawnej dłoni tylko kilka minut! Jeden z turystów powiedział mi, że te artystki mają „dłonie niczym wróżki" i całkowicie się z nim zgadzam. Co ciekawe, wiele współczesnych wzorów wymaga dłuższej pracy niż część tradycyjnych motywów, zwłaszcza kwiatowych, gdzie każdy element dekoracji powstaje zaledwie przy jednym pociągnięciu pędzla. Wymaga to jednak ogromnej precyzji i kilku lat ćwiczeń: szkolenie trwa tutaj trzy lata.

Pomalowany przedmiot trafia do pieca i poddawany jest drugiemu wypalaniu (7 godzin w temperaturze osiągającej maksimum 940 stopni Celsjusza i 7 godzin na wystudzenie). Zmiana kolorów przed i po drugim wypalaniu jest niesamowita, największe wrażenie robi ten filetowo-różowy odcień, który w piecu stanie się… niebieski. Odpowiadają za to związki chemiczne: do malowania używa się tlenków w postaci proszku zmieszanych z wodą.

Henriot-Quimper nie poprzestaje na tradycyjnych wzorach i formach. Od 2005r. firma zaczęła działać równolegle w zupełnie nowym kierunku, proponując pierwszą kolekcję ceramicznej biżuterii. Od tego czasu co roku pojawiają się dwie kolekcje w roku: letnia i zimowa. Henriot regularnie zaprasza też do współpracy artystów. Uważam za bardzo pozytywne fakt, że firma nie stoi w miejscu i że oprócz tradycyjnej gamy produktów proponuje też powiew świeżości. Dzięki temu Henriot potrafi zaskoczyć nawet Bretończyków: ci z młodszego pokolenia patrzą

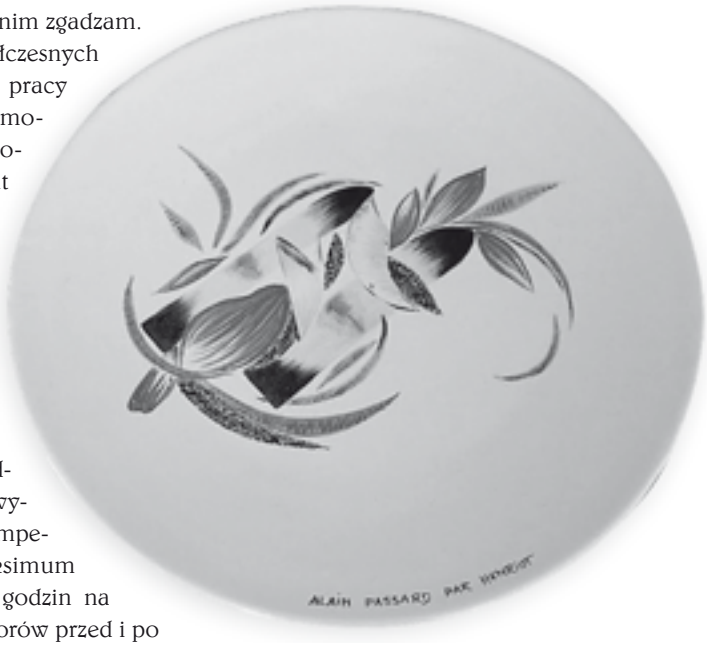

dzięki temu w nowy sposób na markę, która do tej pory kojarzyła im się z zastawą stołową u dziadków. Teraz nie można jej już tak łatwo zaszufladkować, ale, co ciekawe, mimo że firma idzie z duchem czasu, to jednak największym powodzeniem wciąż cieszą się tradycyjne miseczki z imieniem..

Katarzyna Tirilly – z wykształcenia romanistka i hispanistka, obecnie nauczycielka języka francuskiego przez Skype. Odkąd zaczęła uczyć się francuskiego, w tle nieustannie przewijała się Bretania. Od kilku lat zgłębia kulturę, tradycje i mentalność mieszkańców tego regionu w pracy jako przewodnik turystyczny oraz w domu –jako żona Bretończyka. W marcu 2012 roku założyła dwujęzycznego bloga Bretonissime, za pomocą którego pragnie przybliżać Polakom ten piękny region Francji

Galléco – waluta solidarna i etyczna

Marta Tobiasz-Jouhier

Pierwsze urodziny

„Tutaj akceptujemy Galléco" – taką tabliczkę coraz częściej można zobaczyć przy kasie lub na witrynach sklepów, kawiarni, punktów usługowych czy też u sprzedawcy na targu. Już od ponad roku mieszkańcy departamentu Ille-et-Vilaine mogą płacić nie tylko w euro, ale także w galléco – lokalnej walucie. Eksperyment oficjalnie zainaugurowany 21 września 2013 dotyczy na razie trzech obszarów : Rennes – stolicy Departamentu i jednocześnie Bretanii, Redon – 10 tysięcznej miejscowości o dominującym charakterze wiejskim oraz Fougères, miasta średniej wielkości u wrót wschodniej Bretanii, znanego z potężnej, średniowiecznej fortecy. Eksperyment na tak rozległym terytorium i o tak dużym zasięgu to nowość we Francji, gdzie tego typu inicjatywy występują na razie w aglomeracjach miejskich.

Galléco nie jest wyjątkiem

Waluty lokalne zaczynają rozmnażać się jak grzyby po deszczu. Od 2007 roku, proces ten przyspieszył kryzys finansowy i upadek niektórych banków. Aktualnie na świecie funkcjonuje około 5000 takich inicjatyw. Są w obiegu między innymi w USA, w Kandzie, w Brazylii, w Wielkiej Brytanii, w Niemczech czy tez w Holandii. Jedną z najstarszych i najbardziej rozpowszechnionych walut lokalnych jest szwajcarski wir, powstały również jako odpowiedź na Wielki Kryzys spowodowany krachem końca lat 20-tych XX wieku. Dziś, ponad 20% firm ze Szwajcarii i Lichtensteinu uczestniczy w tym systemie. W Polsce, też jest ich kilka i są to monety: funt zakopiański, trzy merki w Jastarni, 4 słupie w Słupsku czy reńskie w Rybniku. Służą jako promocja regionu oraz gminy, są też pamiątką dla kolekcjonerów. Jest też Dobry – Polska waluta lokalna – inicjatywa wspólnotowa na rzecz gospodarki lokalnej, w której działa ponad 100 aktywnych uczestników.

Innowacja społeczna

Inicjatorem eksperymentu galléco jest Rada generalna departamentu Ille-et-Vilaine. Dla wsparcia tego projektu instytucja

Banknoty Galleco. Fot. Marta Tobiasz-Jouhier

Stoisko z bretońskim piwem na targu des Lices w Rennes (jeden z największych targów spożywczych we Francji)

samorządowa przeznaczyła na okres czterech lat (2013 –2016) 339 500 euro.

Ale żeby to przedsięwzięcie mogło się udać, najważniejszy jest udział samych zainteresowanych, czyli obywateli-konsumentów i przedsiębiorców. Chętnych nie brakuje, bo we Francji, a szczególnie w Ille-et-Vilaine bardzo prężnie rozwija się sektor „ekonomi społecznej i solidarnej". Promuje on działania oparte na demokratycznym zarządzaniu przedsiębiorstw, solidarności, integracji, oraz kierowaniu się interesem publicznym. Z punktu widzenia form prawnych są to stowarzyszenia, spółdzielnie, wspólnoty lub fundacje. W Ille-et-Vilaine około 45 000 pracowników zatrudnionych jest właśnie w tym sektorze, co stanowi ponad 12 % całej aktywnej populacji (we Francji jest to około 10 %). Inicjatywa waluty lokalnej padła więc na podatny grunt, gdzie innowacje społeczne postrzegane jako reakcja na zbyt liberalny i drapieżny kapitalizm są waloryzowane, eksperymentowane i wdrażane w życie.

Waluta obywatelska

Waluta będzie zarządzana przez obywateli i ma im służyć. W tym celu, w marcu 2013 powstało stowarzyszenie, również o nazwie Galléco. Założyciele (mieszkańcy, radni, partnerzy, przedsiębiorcy) ustanowili regulamin, zasady członkowstwa oraz działania waluty lokalnej. To umowny środek płatniczy, właśnie dla osób, które dobrowolnie przystępują do stowarzyszenia, za uiszczeniem symbolicznej składki. Warunkiem jest także akceptacja wartości promowanych przez stowarzyszenie. W Ille-et-Vilaine to popieranie gospodarki etycznej (demokratyczne zarządzanie, mała rozbieżność największych i najmniejszych zarobków w firmie, sprawiedliwy handel, itp.), solidarnej (np. zatrudnienie osób niepełnosprawnych) i respektującej środowisko (utylizacja odpadów, produkcja lokalna i ekologiczna). Na dziesiątkach spotkań omówiono szczegóły dotyczące jej funkcjonowania, z wizerunkiem włącznie. Osoby niewidome wybrały nawet różne formaty banknotów, pozwalające na błyskawiczne rozróżnienie nominałów w dotyku. Sama nazwa to połączenie dwóch słów: gallo – to zanikający język romański używany w Górnej Bretanii, który symbolizuje przynależność terytorialną waluty (Pays de Gallo), oraz eco, jak ekologia (écologie).

Aby stowarzyszenie mogło sprawnie funkcjonować, Rada departamentu Ille-et-Vilaine finansuje dwa pełne etaty.

I alternatywna

Nie chodzi tutaj absolutnie o zastąpienie euro jako oficjalnej waluty, co zresztą z punktu widzenia prawnego jest niemożliwe, tylko o zaproponowanie alternatywnego i komplementarnego środka transakcyjnego. I o przywrócenie podstawowej funkcji pieniądza. W jakim celu ? Aby promować lokalną ekonomię. W zglobalizowanej gospodarce, zdominowanej przez ponadnarodowe koncerny oficjalne waluty stały się przede wszyst-

kim przedmiotem spekulacji i tylko mała ich część służy potrzebom gospodarki realnej. Moneta lokalna natomiast używana jest wyłącznie na danym terytorium i to w obiegu zamkniętym. Eksperci twierdzą, że krąży przeciętnie cztery razy szybciej niż waluta państwowa. Dzięki galléco, konsument kupując towar lub usługę popiera lokalnego przedsiębiorcę, który z kolei też zaopatruje się lokalnie i w dodatku zobowiązał się na przestrzeganie ustalonych reguł.

Jak działa galléco

Przelicznik jest prosty : 1 galléco ma wartość 1 euro. W obiegu krąży 10 000 banknotów o nominale 1, 2, 5, 10, 20 i 50 galléco o równowartości 40 000 euro. Taką sumę zdeponowano na zablokowanym koncie w banku Crédit coopératif, partnerze przedsięwzięcia, jako gwarancję wymienialności waluty. Członkowie stowarzyszenia mogą wymienić pieniądze w dwóch bankach: właśnie w Crédit coopératif i niektórych agencjach Crédit agricole, w kilkunastu punktach wymiany oraz u sprzedawców akceptujących tę walutę.

Banknoty wydrukowano w drukarni Rady departamentu, a zabezpieczone są niepodrabialnymi hologramami. Czytniki kodu QR oraz numery indentyfikacyjne pozwalają śledzić obieg monety.

W pierwszym roku dla zachęty ustalono korzystną wymianę: za 20 euro dostawało się 21 galléco.

Utopia czy rzeczywistość?

Stowarzyszenie Galléco zrzesza już prawie 200 przedsiębiorstw i 600 użytkowników. Jak na rok działalności, to całkiem nieźle. Członkowie mobilizują się i uaktywniają, aby zachęcić nowych uczestników, popierających lokalną i etyczną konsumpcję, która wzmacnia także więzi społeczne.

Dopomoże temu ustawa z lipca 2014 o „ekonomi społecznej i solidarnej". Na jej mocy instytucje samorządowe, takie jak gminy, będą mogły również używać waluty lokalnej, co pozwoli na zapłacenie w galléco na przykład wstępu na basen, czy części świadczeń socjalnych.

Wyzwaniem na przyszły rok jest przewidziana dematerializacja waluty. Dlatego stowarzyszenie pilnie śledzi eksperymenty tego typu, prowadzone przez krajowe stowarzyszenie Sol, do którego należy. To z kolei jest członkiem międzynarodowego ruchu zrzeszającego adeptów alternatywnego rozwoju i promującego lokalna walutę Sol.

Gwarancją sukcesu i wymiernego efektu jest szybki obieg galléco i jak najszerszy zasięg przedsiębiorców i użytkowników. Jeśli eksperyment się sprawdzi i pomyślnie zda egzamin, w tej walucie będzie można płacić na terenie całego departamentu Ille-et-Vilaine, z potencjalnym rynkiem miliona mieszkańców. Przyczyniając się do rozkwitu lokalnej gospodarki.

Galléco i ja

Narodziny Galléco śledzę w Departamencie od początku, gdyż tutejsi radni poprosili mnie o znalezienie inspirujących przykładów w innych krajach, a przede wszystkim w Ameryce południowej oraz analizę zarówno sukcesów jak i porażek. W ramach współpracy z Instytutem Nauk Politycznych kierowałam pracą kilku studentów, a zaowocowała ona konferencją oraz debatą dla radnych i wszystkich zainteresowanych, w tym członków tz. „komitetów konsultacyjnych". To grupy obywateli i ekspertów, którzy aktywnie uczestniczą w życiu publicznym, wnosząc swoje refleksje i analizy na aktualne i nurtujące tematy. Ich spotkania odbywają się zazwyczaj co miesiąc, a praca ta pomaga instytucji samorządowej przy podejmowaniu decyzji.

Inicjatywa wprowadzenia waluty lokalnej on razu mnie urzekła, a przede wszystkim zaangażowanie i mobilizacja mieszkańców dla „dobrej sprawy". Jako konsument w miasteczku, gdzie mieszkam, w Rennes Métropole, kupuję za galléco ekologiczne pieczywo, którego sprzedaż odbywa się raz w tygodniu. Chodząc na spacery, widzę jak rośnie zboże, z którego później jemy chleb. Kupuje też inne artykuły żywnościowe – mięso, wędlinę, nabiał, owoce i warzywa u okolicznych producentów. Współpracują oni razem, żeby zaoferować szeroką gamę produktów. Zamówienia składa się przez internet a odbiera raz w tygodniu w sali gminnej. Przynosi je jeden ze zrzeszonych rolników i jest to okazja do porozmawiania i polecenia innych sezonowych produktów. Przyznam, że dwa rodzaje banknotów w portfelu są utrudnieniem, dlatego z niecierpliwością czekam na dematerializację waluty. Galléco nie ma natomiast monet, więc jeśli trzeba wydać resztę (drobne), to jest to w centymach euro. A popieram lokalnych producentów, także i dlatego, że jakość ich towarów jest po prostu znakomita.

Wszystkie szczegóły praktyczne, listę przedsiębiorstw i punktów wymiany można znaleźć na stronie stowarzyszenia: www.galleco.fr

Marta Tobiasz-Jouhier, krakowianka, absolwentka filologii romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz pierwszego cyklu studiów doktoranckich (Diplôme d'études approfondies) Uniwersytetu Rennes II – Haute Bretagne w dziedzinie nauk o informacji i komunikacji oraz literatury francuskiej.

W Bretanii mieszka od prawie 20 lat. Jako laureatka konkursu, od 2006 roku, pracuje w Radzie departamentu Ille-et-Vilaine. Odpowiedzialna za współpracę departamentu z Indiami, Rumunią oraz anglo-normandzkimi wyspami Jersey i Guernsay. Przez kilka lat przewodnicząca a obecnie wice-przewodnicząca stowarzyszenia „Polonia", zrzeszającego Polaków i polonofilów Górnej Bretanii.

Kocha Kraków, Bretanię, literaturę, piesze wędrówki, podróże i fotografię. Autorka kilku wystaw oraz współautorka zdjęć do przewodnika „Kolory Bretanii" wydanego przez Dom Bretanii, oraz broszury „Bretania od A do Z". Mama trójki dzieci o wielu pasjach.

Rozmowa z Fañchem Le Henaff, twórcą czcionki Brito

Skąd wziął się pomysł stworzenia czcionki nawiązującej do pisma bretońskiego? Czy istnieją jeszcze inne czcionki celtyckie?

Projekt stworzenia nowej czcionki inspirowanej pismem bretońskim i celtyckim narodził się w 1995 r. przy okazji pojawienia się mojej książki „Skritur, typografia i tożsamość." W tej pracy prowadziłem już badania na temat sytuacji wydawniczej w Bretanii w latach 1930 i odkryłem czcionkę używaną w Kornog, przeglądzie ruchu [artystycznego] Seiz Breur (bret. siedmiu braci). Czcionka ta, wyryta w drewnie, wymagała znacznego uproszczenia geometrycznych kształtów. Rozrysowałem serię wielkich liter (chodziło o czcionkę do tytułowania) pod nazwą Kornog, a następnie, wzorując się na innej książce ilustrowanej przez René-Yves Crestona, członka Seiz Breur, której czcionka była odlewana, nazwałem tę czcionkę Kan da Gornog, zanim odkryłem jej prawdziwą nazwę: Vulcain. Wpadłem już wtedy na pomysł, żeby stworzyć nową czcionkę, którą narysowałem w 1995 r. i zaprezentowałem pod nazwą Tir Na Nog, która została zmieniona w 1997 r. na Brito. Jako że istniało już wtedy wiele czcionek celtyckich wychodzących się z irlandzkich uncjał, Brito od samego początku projektu miała zerwać z pewną modą graficzną. W tworzeniu jej kierowałem się trzema kryteriami : autentycznością (pochodzenie celtyckie i bretońskie), nowoczesnością (współczesna estetyka) i funkcjonalnością (czytelność, dostrzegalność).

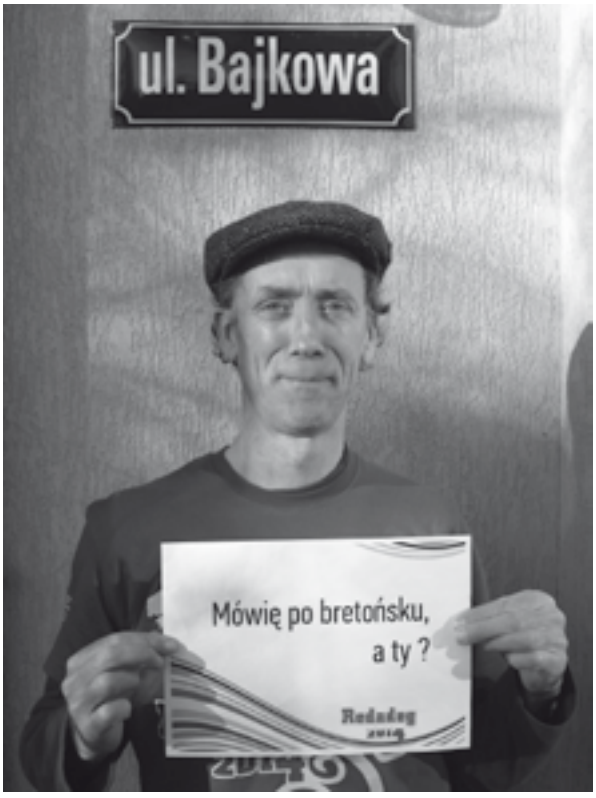

Fot. Paweł Pawlak

Skąd pochodzi nazwa Brito?

Czcionka Brito jest hołdem złożonym pionierowi drukarstwa, Jeanowi Brulelou zwanym Janem Brito (1417-1484), pochodzącym z Pipriac niedaleko Rennes w Górnej Bretanii. Jej nazwa Brito, to zlatynizowane nazwisko Jana Brito, który zamieszkał w Brugii w 1470 r., gdzie właśnie wydrukował pierwszą książkę w języku flamandzkim.

Czy znani są pierwsi drukarze bretońscy? W jakim okresie i gdzie pracowali?

Druk pojawił się w Paryżu w 1470 r., a potem w Bretanii w 1484 r. Pierwszymi bretońskimi drukarzami byli Robin Foucquet i Jehan Crès, którzy z inicjatywy Jehana de Rohan utworzyli pierwszą pracownię typografii w Bréhan w centrum Bretanii. W 1485 r. działały trzy takie pracownie, w tym w Dolnej Bretanii w mieście Tréguier, gdzie Jehan Calvez wydrukował potem pierwszą książkę w języku bretońskim. Ten inkunabuł zatytułowany Catholicon (1499) Jehana Lagadeca to trzyjęzyczny słownik bretońsko-francusko-łaciński adresowany do studentów.

Pierwsze szkice Brito pojawiły się w 1995 r.. Był to prototyp o nazwie Tir Na Nog. Następnie w 1997 r. ta czcionka

do tytułowania zawierająca 120 znaków została nazwana Brito.

W 2011 r. Brito została poszerzona, dopracowana i pojawiła się w wersji cyfrowej pod nazwą Brito Original, a następnie w 2013 r. została uzupełniona o trzy grubości pod nazwą Brito TRI i zawiera obecnie 350 znaków.

Pracowałeś sam, czy też miałeś współpracowników w tym przedsięwzięciu?

W ramach pracy związanej z dopracowaniem i digitalizacją czcionki Brito znalazłem sobie dwóch współpracowników, obaj to dawni uczniowie szkoły Estienne (Paryż). Yoan De Roeck pracował w ANCT [Państwowa Pracownia Projektowania Typografii], gdzie zajmował się rysowaniem czcionek a Malou Verlomme na wydziale typografii Uniwersytetu Reading (UK), gdzie zajmował się użyciem czcionek.

Jest to wielomiesięczna praca oparta na ścisłej współpracy, podczas której poprawiane są kształty (czasami z niektórych się rezygnuje) i dostosowywane do użytku profesjonalnego (głównie poprzez pracę nad odstępami typowymi, regulacją optyczną itp.). Opracowanie Brito związane było z utworzeniem platformy rozpowszechniania tej czcionki oraz strony internetowej skritur.eu, która jest przestrzenią zasobów kulturalnych i typograficznych oraz popularyzacji czcionki Brito. Można tam znaleźć kompletną dokumentację dotyczącą projektu kulturalnego, jakim jest czcionka Brito oraz różnego jej zastosowania. Bretania w czasie przyszłym pisze się czcionką Brito.

Rozmawiała Ewa Waliszewska

Tłumaczenie: Elwira Wróbel

Fañch Le Henaff urodzony w 1960 w Quimper. Grafik niezależny, mieszka i pracuje w Locronan. Dyplom z grafiki Szkoły Sztuk Pięknych w Nantes (1984), Studia na Wydziale Grafiki ASP we Wrocławiu (1984-85) w pracowni J.J. Aleksiuna i E. Get Stankiewicza. Prowadzi w Locronan autorską pracownię designu graficznego. Jest autorem wielu plakatów o tematyce bretońskiej z obszaru kultury i polityki społecznej. Od 1984 r. zrealizował wiele wystaw indywidualnych i grupowych w Bretanii i za granicą, w tym dwie wystawy w Domu Bretanii w 1994 i 2004 r. Twórca czcionki drukarskiej Brito (1997) oraz strony internetowej www.skritur.eu (2011). Autor kilku publikacji związanych z Bretanią, głównie o tematyce poświęconej typografii i grafice. Nauczyciel sztuki użytkowej.

Historia pewnego kryminału

Małgorzata Kobusińska

Przyznaję, kryminał nie należy do moich ulubionych gatunków literackich. I pewnie dla większości czytelników artykułu przestałam być w tym momencie wiarygodna. Mimo wszystko postaram się zachęcić do lektury „Śmierci w Pont-Aven" (wyd. Czarne, 2014), bo nie tylko o kryminał tu chodzi, ale przede wszystkim o Bretanię.

Zanim przejdę do samej historii, chciałabym zwrócić uwagę na okoliczności powstania książki, a dokładniej jej pojawienia się u naszych zachodnich sąsiadów. Wszystko zaczęło się właśnie w Niemczech w 2012 roku, na dwa lata przed ukazaniem się „Śmierci w Pont- Aven" na półkach polskich księgarń. Wydawnictwo Kiepenheuer & Witsch z Kolonii wydało kryminał *Bretonische Verhältnisse - Ein Fall für Kommissar Dupin* („Bretoński mikrokosmos – Śledztwo komisarza Dupina"), który szybko stał się bestsellerem (500 tys. egzemplarzy sprzedanych w Niemczech, 700 tys. na świecie). Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że nikt wcześniej nie słyszał o autorze, podpisującym się Jean-Luc Bannalec. Tak więc rzeczą zupełnie naturalną było narastające wśród czytelników i dziennikarzy zainteresowanie, skąd wziął się nieznany dotąd francuski autor. Kim jest pisarz, który zdecydował się pisać po niemiecku o północno-zachodnim regionie Francji? Sam autor w enigmatycznych wypowiedziach, nie ujawniając swojego wizerunku, tłumaczył tylko, że urodził się w 1966 roku w Breście we francusko – niemieckiej rodzinie.

Ostatecznie dociekliwi niemieccy dziennikarze rozwiązali zagadkę. Pod nazwiskiem Bannalec ukrył się Jörg Bong, wydawca, wykładowca i krytyk literacki. Nieprzypadkowy okazał się także wybór samego pseudonimu. *Bannalec* to bowiem nazwa niewielkiej miejscowości znajdującej się dziesięć kilometrów od Pont Aven, gdzie toczy się akcja powieści. Autor nie jest w żaden sposób rodzinnie związany z Francją, ale od lat dzieli swoje życie miedzy krajem Goethego a Bretanią, krainą kojarzącą się najczęściej z morzem, deszczem, wakacjami i wyśmienitą lokalną kuchnią.

Niedługo po ukazaniu się „Śmierci…" (jest ona jedną z trzech opowieści o komisarzu Dupinie, w Niemczech powstała również serialowa, telewizyjna adaptacja tej mini trylogii) biura turystyczne z południa Bretanii odnotowały wzmożony ruch niemieckojęzycznych turystów, którzy chcieli na własne oczy zobaczyć miejsca, będące inspiracją dla autora i wyruszyć w podróż po regionie śladami komisarza.

Tłem kryminalnej opowieści są Pont-Aven i Concarneu, malownicze miejscowości, które pod koniec XIX wieku odwiedzali artyści-malarze skupieni wokół Paula Gauguina. Wyjątkowe krajobrazy stały się, jak widać, inspiracją nie tylko dla impresjonistów. Tak samo jak kiedyś artyści uciekali z zatłoczonego Paryża na prowincję, aby cieszyć malarskie oko, trafił tam również

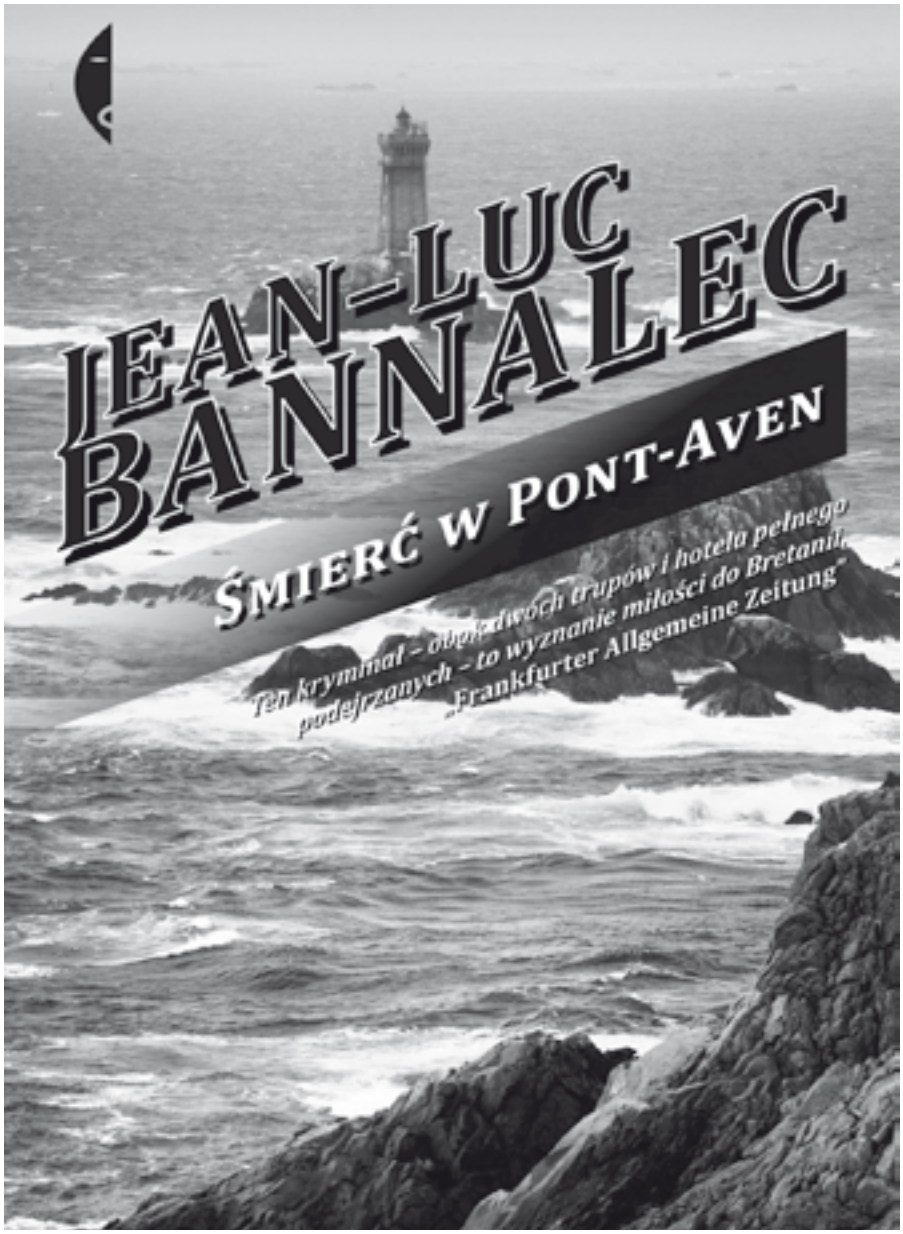

bohater powieści. Literacka, krótka, ale intensywna podróż po regionie, gdzie „pogoda jest ładna pięć razy dziennie", zaczyna się latem, tuż przed rozpoczęciem sezonu turystycznego (tytuł książki w języku francuskim brzmi „Eté à Pont-Aven" *Lato w Pont-Aven*). Brutalnie zamordowany zostaje właściciel historycznego hotelu Central w Pont-Aven. O rozwiązanie tej, szokującej dla wszystkich zamieszkujących spokojne jak dotąd miasteczko, sprawy, poproszony zostaje komisarz Dupin. Georges Dupin został wysłany przez swoich przełożonych z Paryża do departamentu Finistère (łac. finis terrae, bret. Penn-ar-Bed, po polsku „koniec świata") za karę (wiadomo, przeniesienie ze stolicy na prowincję odbywa się tylko w wyjątkowych przypadkach, przykład: znany naczelnik poczty z filmu Dany'ego Boona z 2008 roku pt. „Dalej niż na północ"). Dupin, chcąc nie chcąc, musi oderwać się od swoich codziennych kawiarniano – kawowo – gazetowych przyzwyczajeń i przyjmuje wyzwanie. Rozpoczyna się policyjne dochodzenie. Oprócz kryminalnej intrygi, intrygujące są przede wszystkim opisy bretońskiej architektury, przyrody, obyczajów, zwyczajów, kultury. Oczami głównego bohatera, ze szczyptą kąśliwego, ale życzliwego poczucia humoru, autor oddaje hołd Bretanii, opisując ją w sposób niezwykle dokładny, interesujący i zachęcający do odwiedzin. Nawet najlepsi znawcy francuskiej kultury przyznają, że dzięki tej książce odkryli zupełnie nowe fakty związane z regionem.

Powieść ma w sobie coś bardzo ujmującego. Pisarz lekkim piórem podkreśla tajemniczość i unikatowy klimat celtyckiej krainy. Może dlatego, że sam jest również twórcą przewodników turystycznych? Kryminalna historia przywołuje z kolei na myśl klasyczne powieści Georges'a Simenona. Można by to nazwać kryminałem w wersji „vintage", w którym bohater prowadzi śledztwo w zamkniętej przestrzeni, podejrzanymi są osoby z najbliższego otoczenia ofiary, a pomimo wsparcia współpracowników przy jakże żmudnym śledztwie, Dupin musi w pojedynkę, wzorem starych, samotnych stróżów prawa, poradzić sobie z rozwiązaniem zagadki. Jednym słowem: zręczny powrót do korzeni kryminału, we współczesnym wydaniu.

Zresztą, popularność i znakomite oceny powieści wśród samych Bretończyków są chyba najlepszą rekomendacją do jej przeczytania.

Na koniec ogromne wyrazy uznania i podziękowania nie tylko dla wydawcy za możliwość przybliżenia Bretanii polskiemu czytelnikowi, ale przede wszystkim dla tłumaczki za znakomite wyczucie bretońskiego klimatu.

Małgorzata Kobusińska, absolwentka filologii romańskiej UAM Poznań oraz wydziału lingwistyki Université Paris René Descartes w Paryżu. Pracownik departamentu współpracy międzynarodowej urzędu marszałkowskiego w Olsztynie, odpowiedzialna za kontakty partnerów z Warmii i Mazur i bretońskiego Côtes d'Armor. Stypendystka Rządu Francuskiego w Ecole Nationale d'Administration w Strasburgu. Przewodnicząca olsztyńskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Bretanii i Francji „Amitié". Przez rok (XI.2013-XI.2014) zajmowała się programem kulturalnym poznańskiego Domu Bretanii.

Wizyta w Vannes

Elżbieta Sokołowska

5 listopada 2014, po trzygodzinnej jeździe pociągiem z lotniska Charles de Gaulle w Rossy pod Paryżem, wysiadam na stacji kolejowej w Rennes. Jest wieczór, przede mną godzinne oczekiwanie na przesiadkę do Vannes. Pierwsze co słyszę, to dźwięki pianina, które dochodzą z hali dworca. To nie muzyka z głośników, lecz występ na żywo młodego mężczyzny, który właśnie bierze udział w konkursie zorganizowanym przez kolej francuską SNCF, który jak dowiedziałam się z informacji dostępnej na dworcu i na stronie internetowej www.concours-en-gares.com , ma miejsce na 100 dworcach kolejowych we Francji, także w Rennes. Od 24 września do 24 grudnia bieżącego roku kolej udostępnia podróżnym na tychże dworcach, pianina i zaprasza do zagrania wybranej przez siebie melodii, sfilmowania występu i udostępnienia nagrania na wskazanej przez SNCF stronie. Stawką w tej grze jest pianino Yamaha, a celem, uczynienie z dworców miejsca szczególnych emocji (choć jak dworce dworcami, emocji przy pożegnaniach i powitaniach bliskich nigdy nie brakowało…), urozmaicenie czasu oczekującym na pociąg i stworzenie miłej atmosfery. Krótki recital fortepianowy na dworcu, czemu nie?

Kiedy docieram do Vannes po godzinnej podróży, jest już ciemno. Jestem tu pierwszy raz. Stacja kolejowa ma sympatyczny prowincjonalny charakter. Wychodzę na spokojną ulicę i idę pieszo do hotelu, mijając po drodze eleganckie pensjonaty proponujące szeroki wybór zabiegów SPA. Czterdziestotysięczne Vannes leży nad zatoką Morbihan i słynie z łagodnego morskiego klimatu, toteż wiele osób przyjeżdża tu, by zadbać o swój wygląd i formę. Moja kuracja ograniczy się do wdychania rześkiego powietrza, w którym wyraźnie odczuć można jesienną wilgoć. Następnego dnia od rana mam zaplanowane spotkania, nie chcę stracić jedynej okazji spaceru po starym mieście. Jest dopiero godzina 21, a ulice w centrum miasta są puste i ciche. Za Bramą Więzienną (Porte Prison) prowadzącą do średniowiecznego Vannes intra muros, zatrzymuję się przed witrynami lokalnych sklepów. W jednym można kupić bretońskie smakołyki, w innym wełnianą stylową odzież z Irlandii, następnie mijam małą księgarnię, na której wystawie leżą książki, których tytuły podejmują tematykę historyczną i społeczną Bretanii. Z szacunkiem myślę o tym niewielkim mieście, w którym może utrzymać się taka księgarnia. Jeszcze kilka kroków i docieram do ogrodzenia katedry Saint Patern (świętego Piotra), jednej z siedmiu bretońskich katedr, których patronami są święci założyciele Bretanii czyli kapłani, którzy przypłynęli w V i VI wieku z dzisiejszej Wielkiej Brytanii do Armoryki – „krainy nad brzegiem morza" jak zwała się wówczas Bretania. To za ich sprawą te ziemie zostały schrystianizowane. Każdy z nich ma dzisiaj katedrę pod swoim wezwaniem. Katedry bretońskie nie przypominają słynnych gotyckich katedr Francji. Nie są takie strzeliste, ani lekkie. Zbudowane są z miejscowego budulca, granitu, który nadaje im charakterystycznej szarawej barwy. Mają lokalny charakter. Katedrę w Vannes otacza metalowe ogrodzenie, za którym rosną piękne dostojne hortensje. Klimat Bretanii obchodzi się z tymi krzewami bardzo łaskawie, dzięki czemu hortensje rosną tu bujnie i wysoko, zniewalając wszystkich urokiem swoich kwiatów. Powoli okrążam katedrę, którą oświetla malowniczy księżyc w pełni. Znajduje się ona w trakcie zaplanowanej na wiele lat renowacji finansowanej przez francuskie ministerstwo kultury, o czym dowiaduję się z tablicy informacyjnej.

Przechodzącą parę pytam o miejsce, gdzie można napić się dobrego lokalnego cydru. Kierują mnie do Buveur de lune, czyli „spijającego księżyc". Lokal mieści się na malowniczej uliczce, a jakże, Świętego Paterna. Nie ma tu tłumów. Za barem dwie właścicielki w kwiecie wieku, do których miejscowi zwracają się czule „les Filles" (dziewczyny). Na barowych stołkach bywalcy, którzy, założę się, dzielą się tu bez wahania swoimi kłopotami i radościami. Bar opuszcza właśnie JoJo, starszy pan, którego les Filles żegnają serdecznie, zalecając wracać prosto do domu. Po wyjściu JoJo całą swoją uwagę mogą poświęcić Stefano, który opowiada jak mu poszło spotkanie w sprawie pracy. Nie jest to bar dla studentów, ani dla kadry kierowniczej, serwowany tu cydr jest znakomity, wytrawny, mocno jabłkowy, produkowany przez lokalnych wytwórców na małą, a nie przemysłową skalę.

Wracam do hotelu cichymi śpiącymi ulicami, na których nie natykam się na żadne żabki, małpki, ani cały ten zwierzyniec, który jest zmorą naszych ulic. Nie brak za to w centrum małych piekarń, cukierni, rzeźników, a nawet warsztatów szewskich i krawieckich. Tak, miasto Vannes śpi zdrowym snem.

Następnego dnia idę na spotkanie z panem Yvesem Quentelem, twórcą stowarzyszenia Hangar't. Ten emerytowany dzisiaj dziennikarz założył przed dwudziestu laty w Nizon, małej wiosce pod Pont Aven (mieście leżącym na zachód od Vannes, słynącym z kolonii malarzy, która działała tu pod koniec XIX wieku, a której najbardziej znanym artystą był Paul Gauguin), stowarzyszenie, którego celem była promocja sztuki współczesnej wśród miejscowych chłopów. Pomysł był szalony, bo Quentel zaprosił wszystkich chętnych dosłownie do… dzieła. Po pierwsze zachęcił ich do poszperania w rodzinnych archiwach fotograficznych. Następnie skserował przyniesione fotografie, powiększając je przy tym i podkreślając silny kontrast czerni i bieli. Z kserokopii zdjęć zrobił przeźrocza, które wyświetlił na przygotowaną powierzchnię do malowania. Początkowo stosowano podkłady z desek, później, prawdziwe płótna malarskie. Dwie lub trzy osoby nałożyły pędzlami kolory na wyświetlany obraz. Po kilku seansach pracy powstały pierwsze obrazy Hangar'tu, odwołujące się do estetyki dzieł Andy'ego Warhola, twórcy Pop Artu. To było to!

Mam możliwość obejrzeć obrazy Hangar'tu w domu kultury w Séné, miejscowości, która jest zamożnym przed-

mieściem Vannes. Dom otwarto zaledwie dwa lata temu, ma nowoczesne zaplecze, dużą bibliotekę i jak zauważę później, jest pięknie położony tuż nad zatoką Morbihan, która tego ranka nie przyciąga wzroku, bo woda cofnęła się hen, hen i trzeba czekać do wieczornego przypływu, żeby jej poziom się podniósł. Prace członków stowarzyszenia prezentują się znakomicie, moją uwagę przyciąga od razu Mamm Gozh (babcia) portret starej Bretonki w czepcu, która nazywana jest „bretońską Marylin Monroe". Jej twarz w różnych odsłonach kolorystycznych spogląda z obrazu, który ma istotnie niemało wspólnego z portretem Marylin.

Yves Quentel i Mamm Gozh Fot. E. Sokołowska

Yves Quentel opowiada mi, że przygoda Hangar'tu ze sztuką współczesną rozwija się znakomicie. Stowarzyszenie opatentowało swoją technikę malarską, organizuje wystawy i warsztaty. Należy do niego kilkadziesiąt osób, przede wszystkim są to seniorzy, którzy w jesieni życia przeżywają swoją przygodę ze sztuką. Dwa lata temu Hangar't pokazywał swoją wystawę na Manhattanie. Autorem nowoczesnego katalogu nowojorskiej wystawy był Alain Le Quernec, słynny twórca plakatów, rodem z Bretanii, który od lat kibicuje działaniom stowarzyszenia. Do Nowego Jorku wybrała się ponad 40 osobowa grupa członków Hangar'tu, która na miejscu miała okazję także zwiedzić retrospektywną wystawę Andy'ego Warhola. Po powrocie z Ameryki stowarzyszenie zostało zaproszone do prezentacji prac w la Maison de la Bretagne w Paryżu. Wystawy w Nowym Jorku i Paryżu w jednym roku, to niemałe osiągnięcie dla ludzi, którzy całe życie spędzili, ciężko pracując na swoich gospodarstwach rolnych. Prace Hangar'tu odwołują się głównie do przeszłości, dodają popartowskich barw wspomnieniom. Tegoroczny projekt polegał na uczczeniu 100-lecia I wojny światowej. Artyści stworzyli popartowskie portrety swoich dziadków w mundurach. Do projektu włączyło się także młode pokolenie. Dla wszystkich była to lekcja historii i lekcja malarstwa. Członkowie stowarzyszenia spotykają się raz w tygodniu w swojej pracowni, gdzie stoły i krzesła są także pomalowane przez nich na piękne żywe kolory. Nie brak wśród nich osób, które przekroczyły osiemdziesiątkę, nadal są aktywne i włączają się w działania grupy. Mam nadzieję, że w 2015 roku Hangar't zawita do Poznania i do Kwilcza z wystawą i warsztatami plastycznymi.

Droga powrotna z Séné do centrum Vannes prowadzi wzdłuż zatoki Morbihan, Tu i tam widać jachty przygotowane do zimowania na lądzie. Na wzniesieniu, które dominuje nad zatoką od strony miasta, widzę kalwarię, kamienny krzyż w celtyckim stylu z kilkoma postaciami. Kalwarie są niepowtarzalnym dziedzictwem kulturowym Bretanii. Były budowane, by objaśniać ludowi Biblię. Stuletnia kalwaria z Vannes jest skromna i ogranicza się do krzyża ze stojącymi na jego ramionach postaciami, m.in. świętym Paternem.

Dojeżdżamy do portu jachtowego w Vannes, wokół rozciąga się elegancka zabudowa, w której przeważają typowo francuskie hôtels particuliers, reprezentacyjne miejskie rezydencje. Żegnam się z panem Quentelem, mając nadzieję na kolejne spotkanie z nim i z ludźmi z Hangar'tu w Polsce. Czas, który pozostał mi w Vannes, spędzam w crêperie, którą górnolotnie nazwać można „bretońską świątynią naleśników z mąki gryczanej oraz pszennej". W Bretanii crêperie można znaleźć za każdym rogiem. Wchodzę do najbliższej o nazwie Dan Ewen. Jest kilka minut po trzynastej czyli szczyt pory obiadowej we Francji. Wnętrze jest stylowo urządzone, najpiękniej prezentują się krzesła w bretońskim stylu, z ciemnego, bogato rzeźbionego drewna. W menu znajduję informację o tym, że wszystkie produkty pochodzą od lokalnych wytwórców i z upraw ekologicznych. Specjalnościami crêperie są kolejno: galety noszące nazwy siedmiu świętych założycieli Bretanii, galety o nazwach krajów celtyckich oraz galety o nazwach wysp leżących na wodach zatoki Morbihan. W karcie jest szeroki wybór cydrów, piwa bretońskiego o nazwach Lancelot, Księżniczka Anna, Biała Łasiczka. Znajduję też słynną już bretońską coca-colę –Breizh Cola. Wśród mocniejszych trunków jest typowo bretoński miód pitny Chouchen. Nazwy naleśników podawanych na deser przywołują świat legend bretońskich, jest tu i Wróżka Morgan i Wąwóz bez powrotu, Król Artur i nawet, o zgrozo –Ankou – bretońska śmierć. Deser ten składa się z lodów z mango z dodatkiem truskawek i kremu Chantilly. Czy jest inne miejsce na Ziemi, gdzie na deser można tak po prostu zamówić Śmierć?

Wybieram galeta „wyspa Trohennec" z serem roquefort, gruszką i karmelem. Rozpływa się w ustach. Za 10 Euro można tu pysznie zjeść i wypić bolée cydru (bolée to filiżanka, w której serwuje się cydr).

Po obiedzie pozostaje mi tylko szybki marsz na dworzec w Vannes, gdzie słyszę dźwięki pianina. A skąd na dworcu pianino, to już Państwo wiecie…

Elżbieta Sokołowska – absolwentka UAM i Sorbony. Tworzy Gazetę Bretońską od jej pierwszego numeru. Od 21 lat związana z Domem Bretanii, od lipca 2013 jest jego dyrektorem.

Rok Anny Bretońskiej

Marta Tobiasz-Jouhier

Pięćset lat temu, 9 stycznia 1514 roku, Anna Bretońska umiera na kamicę nerkową w wieku 36 lat. Choć nigdy nie mówiła po bretońsku i większą część swojego krótkiego życia spędziła w królewskim zamku w Blois, a także w Amboise, Loches, Plessis i Le Clos Lucé, nadal pozostaje najbardziej znaną i obok świętego Iwona, patrona prawników , najbardziej popularną postacią historyczną wśród Bretończyków.

W okrągłą rocznicę śmierci wiele wydarzeń upamiętnia tą niezwykłą postać: wystawy, prelekcje, filmy, multimedialne animacje. A także, rzecz niezwykła, relikwiarz zawierający niegdyś serce Anny opuścił jej rodzinne Nantes i został pokazany w Blois, gdzie księżna zmarła, a także w Rennes, aktualnej stolicy Bretanii.

Relikwiarz przyjechał do Rennes po raz pierwszy. Podróż odbyła się pod eskortą, w specjalnie zabezpieczonej, kuloodpornej gablocie, a wartość ubezpieczenia opiewa na 5 milionów euro. Wystawa zatytułowana „Serce Anny w sercu Rennes" pokazana została od 30 września do 2 listopada w Muzeum Bretanii, znajdującym się w nowoczesnym kompleksie kulturalnym Champs Libres, mieszczącym także bibliotekę miejską, planetarium i „espace des sciences" (centrum naukowo-techniczne). Muzeum to ma w kolekcji kilka przedmiotów związanych z księżną, w tym monetę z jej wizerunkiem, a biblioteka oryginalny manuskrypt Pierra Chocque'a.

Serce Anny

Anna Bretońska wiedziała, że jako królowa Francji spocznie w bazylice Saint-Denis, pod Paryżem, nekropolii królów Francji od czasów Chlodwiga I. Tuż przed śmiercią sporządziła testament. Jej wolą było, aby po śmierci, jej serce zostało przewiezione do Nantes i złożone w grobowcu rodziców, w kościele klasztoru Karmelitów. Warto nadmienić, że oddzielanie serca od reszty ciała było w tym czasie uznawanym i praktykowanym zwyczajem wśród wielkich rodów książęcych i szlacheckich. Ostatnią wolę królowej wykonano, jej serce zostało zmumifikowane i umieszczone w żelaznej szkatułce. Tę z kolei zamknięto w ołowianej skrzyneczce i następnie w złotym relikwiarzu. Wykonany przez nieznanego jubilera, ma kształt serca, nad którym znajduje się korona, po obu stronach wygrawerowano tren ku pamięci Anny. Co ciekawe, widnieje na nim data śmierci : 7 stycznia 1514 , a nie 9 stycznia, jak podają wszystkie źródła historyczne. To data zgodna ze „starym porządkiem" z kalendarza juliańskiego.

Po śmierci Anny, relikwiarz otworzono tylko dwa razy, serce jeszcze w nim było. Zniknęło w niewiadomych okoliczno-

Wystawa Serce Anny w sercu Rennes

ściach w czasie Rewolucji francuskiej. A może w kontakcie z powietrzem uległo po prostu całkowitemu rozkładowi? Relikwiarz cudem też nie został przelany na złoto. Uratowano go jako przedmiot o wartości historycznej, "zabytek sztuki" i zachowano w Gabinecie Medali – dziale muzealnym Francuskiej Biblioteki Narodowej w Paryżu. Nantes długo musiało się potem upominać o zwrot relikwiarza, który znajduje się dzisiaj w zbiorach miejscowego muzeum Daubrée.

Księżna Bretanii

Anna Bretońska urodziła się w 1477 roku w Nantes, w potężnym zamku książąt Bretońskich, gdzie okazałe życie dworskie podobne było do tego, jakie wiodły najświetniejsze rody w tym czasie. To fascynujący okres przejścia Europy ze Średniowiecza do wczesnego Renesansu. Anna jest postacią współczesną Krzysztofowi Kolumbowi, Gutenbergowi czy Leonardo da Vinci. Po śmierci swojej młodszej siostry Izabelli, jest jedynym żyjącym dzieckiem Małgorzaty de Foix, księżnej Nawarry i Franciszka II Bretońskiego z dynastii Kapetyngów, ostatniego księcia niezależnej Bretanii, którą odziedziczył w 1458 roku po śmierci stryja Artura III. Nie mając potomka męskiego, Franciszkowi II udaje się doprowadzić do uznania w 1486 roku przez stany bretońskie swojej córki jako prawowitej dziedziczki księstwa.

W tym czasie Bretania jest księstwem niezależnym i dobrze prosperującym, a Francja jest jego odwiecznym wrogiem. Anna jest jeszcze dzieckiem, kiedy wojska jej ojca ponoszą straszliwą klęskę w bitwie pod Saint-Aubin-du-Cormier. Na mocy podpisanego traktatu w Verger, Bretania staje się lennem korony francuskiej, a przyszły kandydat na męża Anny będzie musiał uzyskać aprobatę króla Francji.

Kilka miesięcy później, w czasie przejażdżki, Franciszek II spada z konia i umiera, a 11-letnia Anna zostaje księżną Bretanii. Uroczysta ceremonia konsekracji odbywa się rok później, w 1489 roku w katedrze Świętego Piotra w Rennes.

Trzy śluby

Anna jest jedną z najbardziej pożądanych partii w Europie. Nie brakuje kandydatów ze znakomitych europejskich rodów zainteresowanych aliansem z Bretanią. Już jako kilkuletnia dziewczynka jest zaręczona z księciem Walii Edwardem, synem króla Anglii Edwarda IV. Ten jednak w niewiadomych okolicznościach znika. Uwikłany w wojny z Francją, Franciszek II Bretoński sprzymierza się z arcyksięciem Maksymilianem Habsburskim, któremu obiecuje rękę córki. Wydaje się on najodpowiedniejszym i najsilniejszym kandydatem, aby bronić Bretanię przed zakusami Francji. Ślub per procura, bez zgody króla Francji, odbywa się w katedrze w Rennes w 1490 roku. Staje się możliwy, bo Maksymilian niedawno owdowiał. W odpowiedzi na tę prowokację, panujący w e Francji Karol VIII Walezjusz wkracza z wojskiem do Bretanii, zajmuje kilka miast i przez dwa miesiące oblega Rennes. Maksymilian zajęty walką o tron węgierski nie przybywa na pomoc żonie, podobnie jak inni sojusznicy, Kastylia i Anglia. Aby ochronić księstwo, Anna decyduje się na pertraktacje, podpisanie traktatu pokojowego i zaręczyny z Karolem VIII. Wkrótce, pomimo protestów Habsburgów, w zaciszu zamku Longeais w Dolinie Loary, ma miejsce królewski ślub, małżonkowie

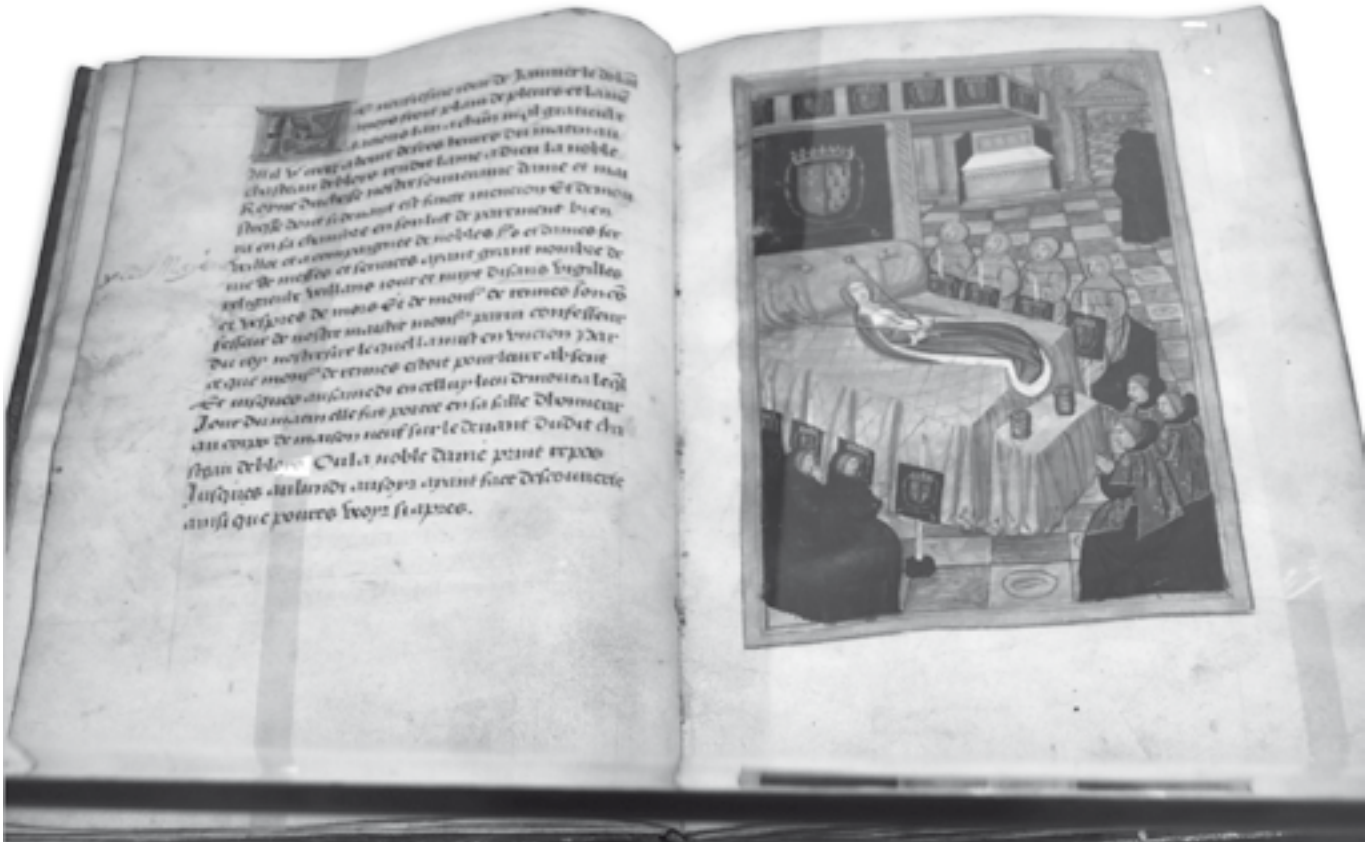

Manuskrypt Anny Bretońskiej na łożu śmierci

mają: 14 (Anna) i 21 Karol) lat. Dopiero później legalność tego małżeństwa potwierdzi papież Innocenty VIII, unieważniając przy tym pierwsze, nieskonsumowane małżeństwo księżnej. Kontrakt ślubny nie jest korzystny dla Anny, gdyż Karol VIII nie zgadza się na używanie przez nią tytułu księżnej Bretanii. W kontrakcie zapisano także, że prawa do księstwa Bretanii odziedziczy ten ze współmałżonków, który przeżyje drugiego.

Anna zostaje koronowana na królową Francji w bazylice Saint-Denis. To nowość, bo jak dotąd koronacje królowych odbywały się w katedrze w Reims. Dopiero po ślubie, Karol VIII obejmuje samodzielne rządy, sprawowane wcześniej przez regentkę.

Małżeństwo trwa zaledwie 7 lat. W tym czasie na świat przychodzi czwórka dzieci, wszystkie jednak umierają, w tym trzyletni, ukochany, pierwszy syn Karola, Orlando, delfin Francji. Jest to ogromny cios dla pobożnej Anny, która nie ustaje w modlitwach o to, by dać królowi Francji męskiego potomka. Marzenia Karola VIII o podbojach i wskrzeszeniu pod swoim berłem Cesarstwa Bizantyńskiego i odbudowie Królestwa Jerozolimskiego brutalnie przerywa przedwczesna śmierć, określana przez niektórych historyków jako « najgłupszy wypadek » w historii królestwa. Wojowniczy król, pomiędzy licznymi wyprawami wraca do zamku w Blois. Niefortunnie uderza głową we framugę zbyt niskich drzwi, co staje się przyczyną jego śmierci.

Anna zostaje wdową w wieku 21 lat. Tuż po śmierci męża wraca do Bretanii, gdyż księstwo prawnie się jej należy. Mianuje kanclerzem wiernego jej Filipa de Montaubant, zwołuje stany generalne i zarządza bicie monety z własnym wizerunkiem, co jest bardzo odważnym przedsięwzięciem, zważywszy na fakt, że jest to w tym czasie przywilej królów, a nie królowych. Anna wychodzi za mąż po raz trzeci w 1499, tym razem zgodnie z pierwszym królewskim kontraktem małżeńskim, za następcę i dalekiego krewnego Karola VIII, Ludwika XII, księcia Orleanu i księcia Mediolana, z dynastii Walezjuszów.

Relikwiarz z sercem Anny Bretońskiej

Fot. 3x M. Tobiasz-Jouhier

Dwa razy królowa Francji

Druga koronacja Anny Bretońskiej odbywa się kilka lat później, w 1504 roku, również w bazylice Saint-Denis. To czyni ja jedyną kobietą w historii, która była dwukrotnie królową Francji. Anna, już jako bardziej doświadczona kobieta i władczyni, lepiej negocjuje swój kontrakt ślubny. Ludwik XII pozwala jej na zachowanie tytułu księżnej Bretanii i przekazanie księstwa w spadku drugiemu dziecku. I w tym małżeństwie Anna jest kilka razy w ciąży, tym razem, przeżyją jej córki: Klaudia i Renata. Tak jak jej matka, Klaudia zostanie w przyszłości królową Francji.

Kilka dat z życia Anny Bretońskiej

1477 – narodziny Anny Bretońskiej w Nantes
1488 – śmierć ojca Anny, Franciszka II z Montfort, Anna zostaje księżną Bretanii
1489 – Anna jest wyświęcona na księżną Bretanii w Rennes
1491 – ślub Anny z Karolem VIII Walezjuszem w Langeais
1492 – Anna jest koronowana na królową Francji w Saint-Denis
1498 – wypadek i śmierć Karola VIII
1499 - ślub Anny z Ludwikiem XII Walezjuszem w Nantes
1504 - Anna po raz drugi jest koronowana na królową Francji w Saint-Denis
1505 – kilkumiesięczny pobyt Anny w Bretanii
1514 - śmierć Anny Bretońskiej w Blois. Pogrzeb w bazylice Saint-Denis, serce złożone jest w grobie rodziców w Nantes

Pogrzeb

O ile źródeł historycznych o życiu Anny Bretońskiej jest stosunkowo niewiele, o tyle jej wystawny, trwający 40 dni, ceremoniał pogrzebowy jest opisany bardzo dokładnie. Najbardziej znany jest ilustrowany manuskrypt, który zawdzięczamy królewskiemu heroldowi, Pierrowi Chocque. Księgę rozesłano później na wszystkie zaprzyjaźnione dwory europejskie, a do dzisiaj zachowało się ich 35 egzemplarzy. Dzięki temu ceremoniał ten stał się wzorem dla późniejszych pogrzebów królewskich aż do czasów zmarłego w 1610 Henryka IV, czyli obowiązywał przez prawie 100 lat. Zaniechano go dopiero w celu wprowadzenia oszczędności, a chodziło o niemałe sumy. Świetnie zachowały się bowiem także i dokumenty księgujące okolicznościowe wydatki.

Po śmierci, ciało Anny zabalsamowano i w szatach królewskich pozostawiono na łożu śmierci przez 6 dni. Następnie przeniesiono go do specjalnie udekorowanej „sali honorowej", a jeszcze później do przyozdobionej w czerń „sali żałobnej". W tym czasie liczna szlachta, duchowieństwo i poddani mogli oddać ostatni hołd księżnej. Zapłacono nawet i odziano w czarne szaty 400 biedaków, aby dodatkowo opłakiwali zmarłą. W tym czasie codziennie odbywało się kilka żałobnych mszy oraz żałobne poczęstunki. Kondukt wyruszył dopiero 4 lutego, czyli prawie miesiąc po śmierci królowej. Zatrzymywał się w wielu miejscach, gdzie za każdym razem urządzano uroczyste ceremonie. W dziesięć dni później dotarł do katedry Notre-Dame w Paryżu, gdzie zbudowano okolicznościową kaplicę i zapalono 3800 świec. Pogrzeb odbył się 16 lutego w bazylice Saint-Denis, a herold królewski wzniósł trzykrotny okrzyk „Królowa umarła". W przypadku królów okrzyk brzmiał „król umarł, niech żyje król").

Serce Anny, oddzielone od ciała w czasie mumifikacji, zostało pochowane w grobie rodziców księżnej, w czasie uroczystej ceremonii 19 marca 1514 roku. Spoczęło pomiędzy ciałem matki i ojca.

Legenda nadal trwa

Po śmierci Anny, tytuł księżnej Bretanii przypadał starszej córce Klaudii, co było niezgodne z wolą matki. Klaudia poślubiła Franciszka d'Angoulême, przyszłego króla Franciszka I, również wbrew życzeniu Anny. Wniosła do małżeństwa w wianie Bretanię, formalnie przyłączoną do Francji w 1532 roku. W ramach traktatu unijnego, Bretanii udało się zachować pewną odrębność i przywileje. Na przykład zachowano Parlament Bretoński i ten musiał wyrazić zgodę na nałożenie nowych podatków…

O Annie Bretońskiej zapomniano przez prawie trzy wieki. Odkryto ją na nowo dopiero w drugiej połowie XIX wieku na fali poszukiwania korzeni i narodowych symboli przez tęskniących za niepodległością Bretończyków. Od tej pory jej postać zaczyna być idealizowana. Rodzi się legenda „Księżnej w drewniakach", choć tak naprawdę w rzeczywistości daleko było Annie Bretońskiej do chłopki w ludowym stroju. Nadal powszechnie uważa się, że świetne, bezpłatne drogi ekspresowe w Bretanii to spadek po Annie będący konsekwencją wyżej wspomnianych przywilejów. A tymczasem przewidział to po prostu „plan drogowy" z czasów rządów generała de Gaulle'a, stworzony, aby ten peryferyjny, z punktu widzenia Paryża, region mógł się dobrze rozwijać.

Anna staje się także „przedmiotem" marketingowym, który wszedł do kultury masowej. Plakaty z jej wizerunkiem zachęcają do odwiedzania Bretanii, jej imię noszą ulice, place lub szkoły prawie w każdym miasteczku. Podobnie jak marka piwa, centrum handlowe, hotele czy żaglowiec… Ma też swoje pomniki. Księżna doczekała się wielu piosenek i publikacji na swój temat. Sukces odniósł spektakl muzyczny Alana Simona z 2009 roku: „Anna Bretońska – rock opera". I wszystko wskazuje na to, że jej mit trwać będzie nadal.

Wydawca: Dom Bretanii
Stary Rynek 37, 61-772 Poznań
tel. 61 851 68 51
e-mail: dom@dombretanii.org.pl
www.dombretanii.org.pl

Redakcja:
Elżbieta Sokołowska
Elwira Wróbel
kultura@dombretanii.org.pl